Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

ADAM MICKIEWICZ

KONRAD WALLENROD

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROMANTYZM
Książka z kanonu lektur dla szkół średnich zatwierdzonego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej

PRZEDMOWA

Naród litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, nie dosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł od razu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednej strony prowadząc ciągłą i morderczą z Zakonem krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda Wielkiego i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i Półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witołda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego Morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, która by różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoję właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich i weszli w stosunki polityczne z Polską. Sławianie, od dawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacji; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym, ale barbarzyńskim ciemiężycielem i pochłonęli go, jak Chiny najeźdźców tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wasale stali się Polakami; wielu książąt litewskich na Rusi przyjęło religią, język i narodowość ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być litewskim, a właściwy naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych i zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada i płynie węższym niżeli pierwej korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu wydarzenia: zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa, i najsroższy jej nieprzyjaciel, Zakon krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie: interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jej dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezji zawód, że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownym wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

«Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości».

WSTĘP

Sto lat mijało, jak Zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci, i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnym zielu,
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy
Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy
Lub, swobodnymi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? – ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość

Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. – Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;
Wszystko rozerwie; – lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

I

OBIÓR

Z Maryjenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;
Dzień uroczysty w krzyżowym Zakonie;
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Otomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki

Nie tylko między krzyżowymi roty
Wsławił orężem młodociane lata,
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty:
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.

Klasztornym murom wiek poświęcił młody
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody:
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem – bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia –
Trudno odgadnąć: zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał
I sypał damom grzecznych słówek krocie,
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia;
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyjatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty;
Ale miał wadę – bo któż jest bez wady?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady.
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju;
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił;
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice;
Z piersi żałośne westchnienie ucieka
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,

Pieśni nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać:
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,
Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać;
Jakiż być może pieśni jego wątek? –
Zapewne myślą, w obłędnych pogoniach,
Ściga swą młodość na przeszłości toniach. –
Gdzież dusza jego? – W krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza struny po kolei
Prócz jednej struny – prócz struny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia – nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie.
Konrad zbudzony zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Cóś Halbanowi szeptał po kryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie grozi:, nie wiadomo komu.
Trwożą się bracia, – stary Halban siada
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy.
Czy cóś wspomina, czyli cóś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą; wtem królewskie źwierzę
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada;
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada
I lwa potężnie uderzy – oczyma,
Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II

Z Maryjenburskiej wieży zadzwoniono,
Z obradnej sali idą do kaplicy,
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha
I śpiewa hymny do Świętego Ducha.

HYMN

Duchu, światło boże!
Gołąbko Syjonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnóże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią
I roztocz skrzydła nad syjońską bracią!
Spod Twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznymi promień blaski,
I kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli;
A padniem na twarz, syny człowieka
Temu, nad kim spoczywa Twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnej ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Świętym znakiem Twojej męki,
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu Twej wiary
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa Twego sztandary;
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża.

* * *

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco powracać do choru
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnymi orzeźwić się chłody:
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody;
Z dala niepewny wyglądał poranek;
Księżyc, obiegłszy błonie safirowe,

Z odmiennym licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę;
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spójrzy wesoło,
Wreście ku piersiom zmordowane czoło
Skłania – i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci,
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby z daleka od ciekawej rzeszy
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę spieszy;
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek, pora wracać do stolicy.
Stają, – głos jakiś – skąd? – z narożnej wieży;
Słuchają pilnie – to głos pustelnicy.
W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,
Z dala przybywszy do Maryi – miasta –
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty
Pragnąc ukoić balsamem pokuty –
Pustelniczego szukała ukrycia
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
Wreście stałością prośby przełamani
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie,
Została sama z myślami i Bogiem;
I bramę, co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo – wietrzyk i dzienne promienie.
Biedna grzesznico, czyż nienawiść świata
Do tyla umysł skołatała młody,
Ze się obawiasz słońca i pogody? –
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,

Oglądać niebo w pogodnej ozdobie
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma;
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki.
I z pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,
Natenczas z okna cóś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzenki:
Czy to jej włosa pukiel bursztynowy,
Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,
Błogosławiącej niewiniątek głowy?

Komtur, tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
«Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki,
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał!
Czyż nie poznają? – ukrywasz daremnie,
Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
Jeszcze by w twojej duszy pozostało
Wiele dawnego, – wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie».
Słucha rycerstwo – to głos pustelnicy,
Spojrzą na kratę, zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona,
Do kogóż? – pusto w całej okolicy.
Z daleka tylko jakiś blask uderza,
Na kształt płomyka stalowej przyłbicy,
I cień na ziemi – czy to płaszcz rycerza?
Już znikło – pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

«Bracia! – rzekł Halban – dziękujmy niebiosom,
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły,
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Czy słyszeliście? Wieszczba o Konradzie,
Konrad dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,
Słowo rycerskie: na jutrzejszej radzie
On mistrzem naszym!» – «Zgoda – krzykną – zgoda!»

I poszli krzycząc; długo po dolinie

Odgłos tryumfu i radości bije:
«Konrad niech żyje, Wielki Mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon! niech pogaństwo zginie!»

Halban pozostał mocno zamyślony,
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojrzał ku wieży i cichymi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

[PIEŚŃ]

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica;
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcyzów płynie;
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie,
Dziewica kocha i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

III

Gdy Mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,
Wzniósł dumnie czoło, chociaż troski chmura
Ciążyła nad nim; wkoło okiem strzelił,
W którym się radość na pół z gniewem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał Mistrza, to groźne oblicze,
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku? –
Drzyjcie, Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. – Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały długi rok w pokoju;
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby;
«Módlmy się – woła – wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby!»
Narzuca posty, pokuty ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza;
Lada grzech ściga najsroższymi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty z dala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na mszę do mistrza kaplicy;
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny? –
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą;
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,

Stąd krymskie chany lud potężny wiodą.
Witołd, zepchnięty od Jagiełły z tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada,
Mistrza nie widać; Halban stary bieży,
W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada:
Gdzież on? – zapewne u narożnej wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora;
Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem aż do białej zorzy
Świeci z daleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich z dala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzawiała krata? –
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany;
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia;
Spokojność na kształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mię z bliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,

A mnie najpierwej żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki,
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czym w Litwie nikt pierwej nie wiedział? –
O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze;

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznym niebie.
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę, w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło,
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

«Nadzieję!» – cichym powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem:
«Gdzież jestem – wołał – tu słychać nadzieje?
Na co te pieśni? – Pomnę twoje szczęście;
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zamęście…
Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa zmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,

I będą żółte jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Które byś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby… ty milczysz? – śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło,
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka!»

GŁOS Z WIEŻY

«Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna…
Precz mi z tą pieśnią! – miałażbym narzekać? –
Z tobą, mój luby, z tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę, lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie, przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają;
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście nie stworzona!
Jeszcze w ojczyźnie, ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czymś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myśliłam sobie: gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z nimi, i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i – zniknąć.
Tyś mię wysłuchał, ty skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?»

KONRAD

«Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli.
Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
Kilka dni tylko, już ich tak niewiele.
Stało się! próżno po czasie żałować!
Płaczmy, – lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał, ażeby mordować.
Po coś tu przyszła, po co, moja droga!
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju? –
Jam cię poświęcił na usługi Boga;

Nie lepiejż było w świętych jego murach,
Z dala ode mnie, płakać i umierać,
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach,
Konać i oczy samotne otwierać,
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać? – A ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc z daleka, i kląć moję duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!»

GŁOS Z WIEŻY

«Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej;
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
Spuszczę się znowu w moję wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nade mną.»

KONRAD

«Więc ty miej litość, ty jesteś aniołem,
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima»

GŁOS (Z WIEŻY)

«O**,** miejmy litość nad sobą samemi,
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że, lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze, ach! gińmyż po społu!
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć;
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w nim ziemski panował kochanek;
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze,
Lecz tam bez ciebie wszystko wokoło mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze.

Wspomniałam sobie, że po latach wielu
Miałeś powrócić do Maryi–grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu.
Kto czeka, lata myślami ukraca;
Mówiłam sobie: on już może wraca,
Może już wrócił; czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie!
Pójdę więc – rzekłam – w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama: może rycerz jaki,
Koło mej chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko,
Może pomiędzy obcymi szyszaki
Ujrzę znak jego: niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczę obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,
Z daleka nawet, kochanka odgadnie.
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,
Co mu z daleka śmie pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec,
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
Myśliłam sobie: on może z wieczora
Wybieży z dala od swych towarzyszy,
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia;
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy;
Dziś ile szczęścia! dziś możemy razem –
Razem zapłakać…»

KONRAD

«I cóż wypłaczemy? –
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia,
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu;
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo.

Odtąd jak znowu z okna twej wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic nie ma dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro i wieża, i krata.
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku
Ja niecierpliwym, wytężonym uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem;
Ja życie moje liczę na wieczory.
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednym westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca,
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca,
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury.
A przecież – wyznam ze wstydem! w tej chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem, lecz z męstwem! a dzisiaj ja stary,
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola boża
Pędzą mię w pole! a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić – rozmowy!”

Umilknął; z wieży słychać tylko jęki;
W milczeniu długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała i promyk jutrzeńki
Już zarumienił lica cichej wody;
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody,
Ptaszęta cichym ozwały się pieniem,
Umilkły znowu – i długim milczeniem
Znać dają, że się zbudziły za wcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,

Długo na kratę poglądał boleśnie;
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spojrzał: już ranek; – opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV

UCZTA

Był dzień patrona, uroczyste święto,
Komtury z braćmi do stolicy jadą,
Białe chorągwie na wieżach zatknięto.
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele, po lewicy tronu
Wziął miejsce Witołd ze swymi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.
Już Mistrz powstawszy daje uczty hasło:
«Cieszmy się w Panu!» – wnet puchary błysły,
«Cieszmy się w Panu!» – tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk pucharów.

«Cieszmy się – rzecze – cóż to, bracia moi,
Tak–że rycerzom cieszyć się przystoi? –
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy;
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy? –

«Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełnym trupów bojowisku,
Śród gór kastylskich lub finlandzkich lasów,
Przy obozowym piliśmy ognisku.

«Tam były pieśni! Między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela? –
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem».

Zarazem różni śpiewacy powstali:
Tam Włoch otyły słowiczymi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali;
Ówdzie trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłośnych pasterzy,
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał, piosenki ustały;
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:
«Mnie – rzekł – jednemu śpiewałeś pochwały,
Jeden nie może dać innej nagrody.
Weź i pójdź z oczu! Ów trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskim gronie
Dziewicy nie masz, co by mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży».

«Tu róże zwiędły; innego chcę barda,
Zakonnik-rycerz, innej chcę piosenki,
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pjany.

«Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa, i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie – taka piosnka nasza.
Kto ją zaśpiewa? kto?» – «Ja» – odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów;
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła
I tym skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. – «Ja śpiewam – zawoła. –
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem;
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwym ciałem,
Jak sługi wierne w dobrym i złym losie
Giną na swego dobroczyńcy stosie;
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni, jak Witołd, między wami żyją»

«Ale po śmierci, Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie,
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,

Zechcą swych przodków wywoływać z raju,
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

«O dzieci, jaka Litwinom sromota!
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza, stary wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.
Samotny w obcej ziemi zestarzałem,
Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem.
Dzisiaj jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dóm ulubiony,
Czy tam, czy owdzie, czyli z tamtej strony.

Tu tylko, w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było,
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi, Niemcy, weźcie mi pamiątki!

«Jak zwyciężony rycerz na igrzysku
Zachowa życie, ale cześć utraca;
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca;
I raz ostatni wytężając ramię,
Broń swą pod jego stopami rozłamie:

«Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę,
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę».

Skończył i czekał Mistrza odpowiedzi,
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem,
Konrad badawczym i szyderczym okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił,
Dręczy go równie i gniew, i sromota.
Na koniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu, nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku;
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy z cicha: «Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni i kto je rozumie? » –
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszymi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą świstając w orzechy:
«Oto jest nuta litewskiego śpiewu».

Wtem Konrad powstał: «Waleczni rycerze!
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze;
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę, będzie to grosz wdowi.

«Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie,
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali;
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali
Albo szmer cichy wiosennego deszczu;
Przy nich spać miło. – Śpiewaj, stary wieszczu!»

PIEŚŃ WAJDELOTY

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych smętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! – Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony

Szyszak błyszczący ze strusimi czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczym jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem –
Ty czasem dzierżysz i miecz archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek – nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie – bezdzietni.
Echa mu wtórzą, ja słuchałem z dala,
Tym mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości spod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznymi wiosły

I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono –
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry.
Myśl znużonymi ulatując pióry
Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałym ręku,
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi, nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącymi słowy do serca spółbraci:
Może by jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki? –
I swoich czasów śpiewak nie obwini,
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,
O nim zaśpiewam, uczcie się, Litwini!

* * *

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać;
W sali dokoła była cichość głucha,
Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innej treści,
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strunach słabiej i rzadziej uderzał
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY

Skąd Litwini wracali? – Z nocnej wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy brańców niemieckich z powiązanymi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców;

Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno – i polecają się Bogu.
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna,
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna,
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy hufce niemieckie rzuciwszy
Między Litwinów uciekli; książę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.
«Nie wiem – rzecze młodzieniec – jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolą schwytany.
Pomnę tylko, że kędyś w Litwie śród miasta wielkiego
Stał dóm moich rodziców; było to miasto drewniane;
Na pagórkach wyniosłych; dóm był z cegły czerwonej.
Wkoło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa.
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu, wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny: „Do broni! Niemcy są w mieście, do broni!”
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu, jeden wypuścił się za mną,
Zgonił, porwał mię na koń; nie wiem, co stało się dalej,
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem.
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mnie długo, krzyk ten pozostał w mym uchu.
Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu; oto jest wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca, i braci,
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród Niemców jak Niemiec,
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna.
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał

Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty,
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej, i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził,
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać.
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń; łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty rozkoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potem w latach młodzieńczych częstośmy z portu Kłejpedy
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią, zdało się, że dzieciniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi słowami
Niźli zioła i kwiaty przeszłość szczęśliwą malował:
Jak to by miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych,
Pędzić chwile młodości; ileż ta dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach Zakonu.
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:
„Widzisz – mawiał mi starzec – łąki nadbrzeżnej kobierce,
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące,
Czołem silą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe płetwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini;
Synu, piaski z zamorza burzą pędzone – to Zakon”.
Serce bolało słuchając; chciałem mordować Krzyżaków
Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy.
„Wolnym rycerzom – powiadał – wolno wybierać oręże
I na polu otwartym bić się z równymi siłami;
Tyś niewolnik, jedyna broń niewolników – podstępy.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, dalej obaczym, co począć”.
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów;
Ale w pierwszej potyczce ledwiem obaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum

I puszczają, ażeby braci sokołów wojował,
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnym odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy;
Pójdź, myśliwcze, do domu, z klatką nie czekaj sokoła».

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchała
Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;
Kiejstutówna, jak zwykle, w sióstr i rówiennic orszaku
Za krośnami usiada albo się bawi przędziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele; z jakim rozkosznym wzruszeniem
Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy.
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
Jako iskra z popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu – ojczyzna.

«Skądże – pomyślał Kiejstut – nagła w mej córce odmiana?
Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki? –
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną,
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach,
Sama nie widzi, co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? – w dolinę;
Skąd powraca? – z doliny; cóż w tej dolinie? – młodzieniec
Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy

Niżli me sady zamkowe? – (Pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta.)
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jej okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemił kryształu;
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącym westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myśliłem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli;
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony,
Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny dla Litwy:
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko.
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!»

Walter pojął Aldonę. – Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłośnych romansach
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę.
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę ślachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek,
Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie;
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami,
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem
I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło – Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany – Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągną plądrując i paląc.

Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie,
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli,
Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; schowany śród Niemców,
Znał potęgę Zakonu; wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręże i wojska.
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony,
Litwa pierwej czy później równej ulegnie kolei;

Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
«Synu – Kiejstut zawoła – zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami?» – «Ojcze – Walter powiadał –
Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny, niestety!
Może kiedyś objawię». – Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno, zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułym pożegnał wejrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść!
Cały ranek przed domem, z założonymi rękami,
Patrzy na dymy płonących z dala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikimi oczyma; w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

«Mężu drogi, co tobie?» – pyta ze łzami Aldona. –
«Co mnie? będęż spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną
I sennego związawszy, w ręce katowskie oddadzą? –
«Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów». –
«Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku,
Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla…
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję…» –
«Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek» – «Wtem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego.
Ja sam może bym ojca, może bym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota». – «Drogi Walterze, ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców». –
«My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim? –
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?» – «Znowu dalej ujedziem». –
«Dalej? dalej, nieszczęsna? dalej ujedziem, za Litwę?
W ręce Tatarów lub Rusi?» – Na tę odpowiedź Aldona
Pomieszana milczała; jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.
Załamawszy ręce pyta Waltera, co począć? –
«Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj, dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W której od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu». –
Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą,

Aż na koniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie
Dotąd mu żywot słodzące, nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy rdzeń głęboko wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły zza morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry,
Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł,
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki; gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużej z niemej wyrazem rozpaczy;
Wtem gęstymi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
«Biada – mówił – niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują;
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie,
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czym bywaliśmy dawniej; jutro…» – i nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinie przechadzki, i o wszystkich dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych, pierwszej miłości zdarzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem «jutro» przerywa? –
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu się kręcą w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie.
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki

Na to tylko wywołał, aby się z nimi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?… –
Darmo się pytać, Aldona patrzy, czeka niepewna
I wyszedłszy z komnaty jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puchary
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze z tumanem rannym spieszą się w góry.
Wszystkie by straże zmylili, jednej nie mogli omylić.
Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
«Wróć się, o luba, do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa,
Może będziesz szczęśliwa, w lubej rodziny objęciach;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się – nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną:
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał
Jako Wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych imię Alfa na nawo
Zabrzmi na Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
Czyny jego; natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem,
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa».
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
«Jedziesz, jedziesz!» – krzyknęła i zatrwożyła się sama
Słowem «jedziesz», to jedno słowo brzmiało w jej uchu;
Nic nie myśliła, o niczym pomnieć nie mogła; jej myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się tłumnie.
Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;
W tym wejrzeniu już dawnej nie znajdowała pociechy
I zdawała się szukać czegoś nowego, i wkoło
Oglądała się znowu, wkoło pustynie i lasy;
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca,
Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa.
Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał
I u bramy – niestety! straszne to było rozstanie…
Alf z wajdelotą pojechał, dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;

Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy…
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił…
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem piosenkę.

* * *

Koniec już, koniec» – wielki szmer na sali –
«I cóż ów Walter? jakie jego czyny?
Gdzie? nad kim zemsta?» – słuchacze wołali;
Mistrz tylko jeden śród szumnej drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową,
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puchary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Różne uczucia w nagłych błyskawicach
Po rozpalonych krzyżują się licach.
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,
Usta drżą silnie, obłąkane oczy
Latają niby jaskółki śród burzy,
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy:
«Gdzie koniec pieśni? – wraz mi koniec śpiewaj,
Albo daj lutnię; czego drżący stoisz? –
Podaj mi lutnię, puchary nalewaj,
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

«Znam ja was, każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży jak nocnych psów wycie;
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Na kształt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

«Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puchary wesela.
Słuchałem pieśni, zanadto, niestety!…
Stało się, stało; znam cię, zdrajco stary;
Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety!
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary.

«Wiem koniec pieśni, nie... zaśpiewam inną;
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli.
Starcze, graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie… o! był to czas błogi –
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić.
Wracajże, starcze, bo przez wszystkie bogi

Niemieckie, pruskie…» – Starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikimi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada;
Lecz Konrad śpiewa, budzą się na nowo,
Stają i w szczupłym ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA

ALPUHARA

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali,
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż oddźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor, król muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,

Sam się oddaje w ręce Hiszpanów
I tylko błaga o życie.

«Hiszpanie – woła – na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

«Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony».

Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił,
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

«Patrzcie, o giaury! jam siny, blady,
Zgadnijcie, czyim ja posłem? –
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze:
Wy tak musicie umierać!»

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się – śmiechem serdecznym.

Śmiał się – już skonał – jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła;
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

* * *

«Tak to przed laty mścili się Maurowie,
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie
I przyjdzie mieszać zarazę do wina?… –
Ale nie – o nie! – dziś inne zwyczaje;
Książę Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje
I zemsty szukać na swój lud znękany!

«Przecież nie wszyscy – o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie –jeszcze wam zaśpiewam…
Precz mi z tą lutnią – zerwała się struna,
Nie będzie pieśni – ale się spodziewam,
Że kiedyś będą… dziś – zbytnie puchary…
Zanadto piłem – cieszcie się – i bawcie.
A ty Al…manzor, – precz mi z oczu, stary –
Precz mi z Albanem – samego zostawcie!»

Rzekł i niepewną powracając drogą
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze cóś groził; uderzywszy nogą
Stół z pucharami i winem wywrócił.
Na koniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada.
Ale na uczcie! publiczna sromota!
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? Gdzie ów wajdelota? –
Wymknął się z ciżby i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,

Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w Mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada? –
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V

WOJNA

Wojna – już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.

Witołd, co wsparcia u Zakonu żebrał
Dla odzyskania wileńskiej stolicy,
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza rozkazem,
A potem, oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon i wstydem, i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla; morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni książęta, z wasalów drużyną,
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił – lub wygubił.
Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili? –
Jeśliś ciekawy, wynidź na okopy,
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli;
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje –
Oto są wojen napaśniczych dzieje;
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,
Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli,
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
W końcu ustały i wieści, i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni
I niebo coraz dalej się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitej krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo ślą częstych gońców po nowiny,

Śpieszą się gońce i – nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Rad by doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi,
I znowu z dala na niebiosach świeci –
Północne zorze? czy wojny pożogi? –
Coraz widoczniej razi blask płomieni
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Maryjenburga lud patrzy ku drodze,
Już widać z dala: – kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych; – Konrad? nasi wodze?
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? – Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną;
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę.
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną,
Walą się, depcą, jak podłe owady
W ciasnym naczyniu ginące po społu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi;
Lecz ręce wznoszą i, stojące trupy,
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,
Bo cale dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiej pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni;
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił;
On, co z oręża takiej nabył chwały,
On, co się dawniej roztropnością chlubił:
W ostatniej wojnie lękliwy; niedbały,
Witołda chytrych sideł nie dostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.
Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciel, wkoło rozproszony,

Niszczył posiłki, przecinał dowozy,
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie:
Czas było szturmem położyć kres wojny
Albo o rychłym zamyślać odwrocie;
Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty knował tajemne układy
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego nie wzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął;
Z założonymi na piersiach rękami
Cały dzień dumał lub z Halbanem gadał.
Tymczasem zima nawaliła śniegi
I Witołd świeże zebrawszy szeregi
Oblegał wojsko, na obóz napadał;
O hańbo w dziejach mężnego Zakonu!
Wielki Mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy.
Zamiast wawrzynów i sutego plonu
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy.

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu? –
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał – ale spojrzyj w oczy:
Ta wielka, na pół otwarta źrenica
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Którymi szatan podróżnego mami;.
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał, Konrad nie dbał o to;
Zwołał na radę niechętnych rycerzy,
Spojrzał, przemówił, skinął – o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga,
Bo kogóż z ludzi nie przekona – trwoga?

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie.
W Maryjenburgu wiem ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień, i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,

Na tronie ustaw księga tajemnicza;
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi,
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
Każdy powinien, gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiery u boku.
Jeden z maskowych zbliżył się do tronu
I stojąc z mieczem przed księgą zakonu,
Rzekł:« Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest? – nie wiadomo; przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął na koniec zakonnika śluby
I został mistrzem dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie; tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem, i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą;
Lecz, sędziowie! on mówił językiem Litwinów.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły
I o czym świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyją, zdradę».–

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
Ukląkł i wsparłszy na krucyfiks rękę,

Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz nie ma głosów ni cichej rozmowy,
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumnienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: – «Biada!»
I trzykroć echem powtórzyły mury:
«Biada!» – W tym jednym, jednym tylko słowie
Jest cały wyrok; – pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone – w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, – a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: – «Biada!»

VI

POŻEGNANIE

Zimowy ranek – wichrzy się i śnieży;
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów,
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
«Aldono – woła – żyjemy, Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby,
Oni zginęli, wszystko wypełniono».

PUSTELNICA

«Alf? to głos jego? Mój Alfie, mój luby,
Jakże? już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz?» –

KONRAD

O! na miłość Boga,
O nic nie pytaj; słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.
Oni zginęli, – widzisz te pożary?
Widzisz? – to Litwa w kraju Niemców broi;
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło;
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi,
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcej nie chcę, wszak jestem człowiekiem!
Spędziłem młodość w bezecnej obłudzie,
W krwawych rozbojach – dziś schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą, niezdolny do bitwy,
Już dosyć zemsty, – i Niemcy są ludzie.
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek – już tylko ruiny;
Odwracam oczy, przelatuję czwałem,
Biegę do owej, do naszej doliny.
Wszystko jak dawniej! też laski, te kwiaty;
Wszystko, jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,

Co niegdyś naszych przechadzek był celem? –
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju;
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchymi wierzbami ogrodził.
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy.
Ach! na ten widok pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana,
Boże mój – rzekłem – aby się spełniło!
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu! niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!

«Tak, wróćmy, pozwól! mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć – lecz po co rozkazy? –
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybiję, wysadzę;
Tam cię, o luba! ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku
Lub dalej pójdziem; są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy nie słychać obcej broni szczęku
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.
Tam w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twoim ręku, u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś – będziem żyć dla siebie.
Wróć, powiedz, pozwól!» – Milczała Aldona,
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
Wtem krwawa jutrznia błysnęła na niebie:
«Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma;
Aldono!»– wołał, drżał z niecierpliwości,
Głosu nie stało, błagał ją oczyma
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana i żebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

«Nie, już po czasie – rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym – Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu.
Chcesz wrócić na świat, kogo? – nędzną marę!
Pomyśl, ach, pomyśl, jeżeli szalona
Dam się namówić; rzucę tę pieczarę
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:
„Ten straszny upiór jestże to Aldona?”
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy
I w twarzy, która… ach! myśl sama razi…
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknej Aldonie oblicza nie kazi.

«Ja sama – wyznam – daruj, mój kochany,
Ilekroć księżyc żywszym światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany,
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć z bliska.
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszymi orszaki;
Lecz dotąd w moim zachowałeś łonie
Też same oczy, twarz, postawę, szaty.
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać.
Alfie, nam lepiej takimi pozostać,
Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu – ale nie na ziemi.

«Doliny piękne zostawmy szczęśliwym;
Ja lubię moję kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Można by wszystkie cierpienia osłodzić;
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić.
«Gdybyś – posłuchaj – wokoło równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty; nawet ów kamień z doliny;
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła
Bawią się między ojczystymi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła;
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy.

Piosnka ojczysta pomaga dumaniu
I sny sprowadza o Litwie i tobie;
A potem, potem, po moim skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie».

Alf już nie słyszał, on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę – utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko – prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy,
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada…
Cień krąży dalej i cichymi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada,
Głos tylko słychać: – «Biada, biada, biada!»

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślił chwilę – i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnym okiem;
Pusto dokoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał;
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;
Na koniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją z dala; jeszcze w oknie była.
«Dzień dobry! – krzyknął – przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz dzień dobry – jaka wróżba miła!
Pierwszy dzień dobry – po latach tak wielu.
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano?» –

ALDONA

«Nie chcę zgadywać, bądź zdrów, przyjacielu,
Już nazbyt światło, gdyby cię poznano…
Przestań namawiać – bądź zdrów, do wieczora,
Wyniść nie mogę, nie chcę».

ALF

«Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? – zrzuć jaką gałązkę –
Nie, kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży.
Chcę dzisiaj – jutra nie każdemu dożyć –
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twoim łonie,
Na którym jeszcze świeża łezka płonie.
Chcę go przed śmiercią na mym sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem;
Mam zginąć wkrótce, nagle; zginńmy razem.
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę,
Tam będę mieszkał; dla znaku, co ranek
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświcę;
Tam wiecznie patrzaj: jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona,
Zamknij twe okno – może już nie wrócę.

«Bądź zdrowa!» – Odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda, zwieszona u kraty;
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe, z wiatrem igrające szaty
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

* * *

«Zaszło na koniec» – rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana
Siedział patrzając w okno pustelnicy. –
«Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów, wierny sługo.
Pójdę ku wieży, – bywaj zdrów na długo,
Może na wieki! Posłuchaj, Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. –
Chcę, chciałbym jeszcze cóś tobie polecić –
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć
W godzinę skonu – prócz jej i prócz ciebie.
Bądź zdrów, Halbanie, ona będzie wiedzieć,
Ty, zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano…
Lecz cóż to? słyszysz? – w bramę kołatano».
«Kto idzie?» – trzykroć odźwierny zawołał.
«Biada!» – krzyknęło kilka dzikich głosów;

Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz w raz się rozlega;
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu: – «Stało się!» – zawoła,
Nalał i wypił: – «Starcze! w ręce twoje!»

Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się; myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę: – to oni; już przyśli.

«Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegóż myślisz? – masz nalaną czaszę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze».
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy.

«Nie, ja przeżyję… i ciebie, mój synu! –
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć – ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci,
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!»

Na poręcz okna Alf ze łzami pada
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali
W ostatnim, długim, długim uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

«Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec, kapelan Zakonu,
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie».

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,

Depce nogami z uśmiechem pogardy:
«Oto są grzechy mojego żywota!

«Gotow-em umrzeć, czegóż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy? –
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.
Słyszycie wicher? – pędzi chmury śniegów,
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? – wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady.

«Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!»

Rzekł, spójrzał w okno i bez czucia pada,
Ale nim upadł, lampę z okna ciska;
Ta trzykroć, kołem obiegając, błyska,
Na koniec legła przed czołem Konrada;
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy,
Już pobielały – i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany, –
Z czyjej to piersi? – wy się domyślicie;
A kto by słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną; zmieszanymi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonii w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

KONIEC

OBJAŚNIENIA (POETY)

I

w. l: Z Maryjenburskiej wieży zadzwoniono.
Marienburg, po polsku Malborg, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do Rzeczypospolitej Polskiej, później oddane w zastaw margrabiom brandeburskim, przeszło na koniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby wielkich mistrzów; niektóre dotąd ocalały. Voigt, profesor królewiecki, wydał przed kilku laty historią Marienburga, dzieło ważne dla historii Prus i Litwy.

w. 7–8: Wielki krzyż… i wielki miecz.
Insygnia wielkich mistrzów.

w. 16: Domy.
Tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

w. 23: Gonić na ostre.
Dawne wyrażenie polskie; *cambattre outrance.*

w. 132–133: Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.
Wzrok człowieka – powiada Cooper – jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest, podniósł się i ujrzał z przestrachem ogromnego, tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrutem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się: powoli, ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko i na koniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł: *Bibliothéque Uniwerselle,* 1827 *février. Voyage du capitaine Head.*

II

w. 29: Arcykomtur.
Grosskomthur, najpierwszy urzędnik po wielkim mistrzu.

w. 62: Jakaś nieznana, pobożna niewiasta.
Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która przybywszy do Maryjenburga żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

w. 123 i nast.: Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom…
Konrad dzielnego imię Wallenroda…
On mistrzem naszym.
W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak Winrych Kniprode pozyskał wszystkie głosy,

ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach mistrzów wołanie trzykrotne: *«Vinrice! Ordo laborat!* » «Winrychu! Zakon w niebezpieczeństwie!».

III

w. 73: Zamek Swentoroga.
Zamek wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany znicz, to jest ogień wieczny.

w. 14: «Cieszmy się w Panu!»
Hasło uczt zakonnych owego wieku.

przed w. 151: Pieśń Wajdeloty.
Obacz *Grażyna,* przyp.[is] 19, gdzie opisane jest podobne zdarzenie za mistrzostwa Dusener von Arfberg.

w. 155: Staje widomie morowa dziewica.
Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, której zjawienie się, opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słyszaną niegdyś w Litwie balladę: «We wsi zjawiła się morowa dziewica i według zwyczaju przeze drzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności, wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich; wziął szablę zygmuntówkę, na której było imię J e z u s, imię M a r y j a, i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu rękę i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrza». Chustka owa miała być zachowaną w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na Wschodzie przed zjawieniem się dżumy ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza i palcami wytykać wskazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacja gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecji przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej, w państwie rzymskim upadek monarchii, w Ameryce przybycie Hiszpanów itd.

w. 129: Miałem imię Waltera.
Walter von Stadion, rycerz niemiecki, wzięty w niewolą od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini, dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciółmi. Takim był pamiętny w dziejach Zakonu Prusak Herkus Monte.

[Pieśń V, tytuł:] Wojna.
Obraz tej wojny skreślony podług historii.

w. 129: Trybunał tajemny
W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie, nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano potępionego, wołając nań pod oknami lub

gdziekolwiek w jego obecności: *«Weh!»* «Biada!» To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem femicznym (Vemgericht) albo westfalskim. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucją całkiem obalono.

Nazwaliśmy powieść naszę historyczną, bo charaktery działających osób i wszystkie ważniejsze wspomnione w niej zdarzenia skreślone są podług historii. Ówczesne kroniki, w cząstkowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć.

Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda), powiada: «Er war ein Pfaffenkind». O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę i nawet nienawiść ku duchownym: «Er war ein rechter Leuteschinder» (Kronika biblioteki Wallenroda). «Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen» (Dawid Lucas). «Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer». Z drugiej strony przyznają mu ówcześni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać śród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził.

Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witołd przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książę, pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnej zmianie okoliczności należało wojnę zaniechać albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki mistrz ogłasza krucjatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5 000 000 Mark, około miliona złotych węgierskich, suma na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień; Wallenrod, zostawiwszy obóz bez żywności i w największym bezładzie, uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu i nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomieszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i następowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem i że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryjenburgu. Wallenrod umarł w r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. «Er starb – powiada Kronika – in Raserey, ohne letzte Öhlung, ohne Priestersegen. Kurtz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme… hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pillau steht».

Halban, czyli jak go zowią kronikarze: doktor Leander von Albanus, mnich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem,

poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął, inni, że uszedł tajemnie lub od szatana porwany został.

Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebue: *Preussens Geschichte,* «Belege und Erläuterungen». Hartknoch, nazywając Wallenroda «unsinnig», bardzo krótką daje o nim wiadomość.

Lubo rodzaj wiersza użyty w Powieści Wajdeloty mało jest znany, nie chcemy wykładać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent, zachowujący się w wymawianiu; radziliśmy się też uwag zawartych w ważnym dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu nie poczytujemy za rzecz stosowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie.

— ˘ | — ˘ ˘ | — ˘ | — ˘ ˘ | — ˘ ˘ | — ˘
Skąd Li | twini wra | cają? | z nocnej wra | cają wy | cieczki.

— ˘ | — ˘ ˘ | — ˘ | — ˘ ˘ | — ˘ ˘ | — ˘
Wiozą | łupy bo | gate, | w zamkach i | cerkwiach zdo | byte..

— ˘ ˘ | — ˘ ˘ | — ˘ | — ˘ ˘ ˘ | — ˘ ˘ | — ˘
Sama nie | widzi, co | robi; | wszyscy mi | to powia | dają.

W budowie wiersza naśladowano heksametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów używano najczęściej trocheów (—v) – albo —v. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez antibacchius (— —v), – którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długą, np.:

| — ˘ ˘ | — ˘ |
| krzyk mojej | matki. |

Napisana podczas zesłania w Rosji powieść poetycka *Konrad Wallenrod,* ukazała się w 1828 r. w Petersburgu. Jest to jedno z najbardziej kontrowersyjnych dzieł Adama Mickiewicza. Od samego początku stało się ono przedmiotem wielu sporów, zarówno o interpretację jego wymowy jak i ocenę moralną bohatera.

Mottem utworu stała się myśl wyrażona w słynnym *Księciu* Machiavellego, że „do obrony ojczyzny" trzeba być jednocześnie „lisem i lwem". Osadzona u schyłku XIV wieku akcja opowiada historię bohatera-zdrajcy, który uciekając się do podstępu doprowadza do klęski swych wrogów. Wewnętrzna walka Konrada toczy się pomiędzy dochowaniem wierności ideałom rycerskim a wykorzystaniem jedynej broni dostępnej „niewolnikom" – podstępu. Jest on bohaterem tragicznym: w imię najszlachetniejszego celu wypełnia swą misję, ale nie może żyć z poczuciem hańby. Wallenrodyzm stał się do dziś żywym symbolem postawy utajnionego sprzeciwu.

Wyjątkową rolę w tym utworze pełni pieśń gminna – jest zbiorową pamięcią, strażnikiem wartości narodowych, przez co staje się groźną siłą – oddziałując na umysły, zmusza do działania nawet wbrew woli. Po raz pierwszy tak wyraźnie ukazał Mickiewicz duchowe przywództwo poezji w życiu narodu. Niektóre frazy z *Konrada Wallenroda* weszły na trwałe do tradycji literackiej, jak choćby słowa Wajdeloty: *Płomień rozgryzie malowane dzieje, Skarby mieczowi spustoszą złodzieje*, *Pieśń ujdzie cało…*